

# APOSTOŁ POLSKI

Pismo Postulacji do sprawy beatyfikacji Sługi Bożego  
o. Bernarda Łubieńskiego



JESTEŚMY  
NAPEŁNIENI  
DUCHEM  
ŚWIĘTYM



Numer 54 – Lipiec/Sierpień 2018

## Drodzy Czytelnicy!

Zatwierdzenie przez papieża Franciszka dekretu o heroicznosci cnót o. Bernarda Łubieńskiego w sposób szczególny przypomina nam, że wzorując się na jego życiu, możemy również znaleźć własną drogę do nieba, do świętości. Ta nasza droga nie jest i nie będzie nigdy wolna od różnych problemów i trudności. Miłość, jaką o. Bernard darzył Boga i ludzi w ziemskim życiu, może być jednak dla nas źródłem nadziei, że teraz będąc u Pana, nadal będzie służyć pomocą tym, którzy o nią będą prosić.

O. Łubieński był przede wszystkim głosicielem słowa Bożego. Głoszone przez niego słowo - tak na ambonie jak i w konfesjonale - było autentyczne, bo mówił o tym, czym sam żył, pragnąc jednocześnie wzbudzić w sercach słuchaczy nawrócenie i rozpalic w nich miłość do Chrystusa.

Dlatego też w tym wakacyjnym numerze „Apostoła Polski” zamieszczamy fragment *Wspomnień* o. Bernarda, w którym opisuje swoje pierwsze prace misyjne po przybyciu do Mościsk. Właśnie 15 lipca tego roku, w uroczystość Najświętszego Odkupiciela (jest to uroczystość patronalna Zgromadzenia Redemptorystów obchodzona co roku w trzecią niedzielę lipca) mija dokładnie 135 lat od uroczystego rozpoczęcia posługi przez redemptorystów w Mościskach. O tamtych wydarzeniach mówią fragmenty z kroniki klasztoru w Mościskach napisane przez Czcigodnego Sługę Bożego. W ramach wspomnień i świadectw o o. Łubieńskim możemy zapoznać się z kazaniem, które wygłosił ks. Henryk Cichowski TJ z okazji jubileuszu 50-lecia jego kapłaństwa. Tradycyjnie całość numeru uzupełniają kolejne prośby i podziękowania za otrzymane łaski.

Niech czas wakacji i wypoczynku, dla wielu również czas rekolekcji wakacyjnych i pielgrzymowania, pobudzi nas do głębszej refleksji nad naszym życiem i odnowi w nas pragnienie świętości. Prosząc o nią dla nas samych i naszych bliskich, nie ustawajmy też w modlitwie o beatyfikację Czcigodnego Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego.

*Redakcja*

## Początki pracy redemptorystów w Mościskach

Przewielebny o. Antoni Jedek, wybrany przez ojca generała na superiora i fundatora domu polskiego w Mościskach, wyruszył z Wiednia wieczornym pociągiem dnia 27 maja, wśród Czechów, [którzy zebrali się] na pożegnanie ich ulubionego kaznodziei i misjonarza w Wiedniu. Dzień 28 [maja] spędził w Krakowie, aby odwiedzić o. Łubieńskiego. Zaproszony na obiad u ks. biskupa [Dunajewskiego] aż do wieczora bawił w mieście, wieczorem zaś pociągiem wyruszył do Mościsk i tam w końcu zajął z rana dnia 29 maja. Wprost do ks. kanonika [Stojałowskiego] przybył, u którego przez kilka dni gościł. Po Mszy św. w parafialnym kościele konie i bryczka ks. kanonika odwoziły go na plebanie. [...]

Następnego dnia wybrał się do Przemyśla złożyć uszanowanie ks. biskupowi Soleckiemu i wszystkim kanonikom z osobna. U ks. kanonika Puzyny zjadł obiad, a przez wszystkich jak najuprzejmiej był przyjęty. Wyrobił sobie też przy tej okazji jurysdykcję do słuchania spowiedzi.

Wróciwszy do Mościsk, o. superior przygotował się, aby nazajutrz rozpocząć tę pracę nieustanną w kościele naszym. Już często w poprzednich swoich podróżach do Mościsk odprawiał Mszę św. w kościele klasztornym, ale można uważać, że dzień 31maja 1883 r. jest datą fundacji w Mościskach, bo tego poranka odprawił o. superior Mszę św. śpiewaną w kościele i od tego dnia codzienna ofiara będzie (daj Boże!) przez naszych spełniana. Konsekrował hostie i w cyborium schował, tak że Pan Jezus znowu na stałe zamieszkał w swym domu. Pożyczył z kościoła parafialnego konfesjonał i umieściwszy go koło ołtarza św. Antoniego, swego patrona, rozpoczął te spowiedzi, które bez przerwy odtąd dzień w dzień w kościele naszym się odprawiają. Wreszcie w ostatni dzień miesiąca majowego, nieszporne nabożeństwo odprawił, [a] sam ks. kanonik asystował mu przy ołtarzu.

Do klasztoru wprowadzić się nie mógł, ponieważ Urząd Podatkowy uważał nie 1 [maja], lecz 31 maja za termin, kiedy miał oddać swoje trzy pokoje. Lecz i 31 [maja] nie byli urzędnicy przygotowani opuścić nasz dom i prosili o przedłużenie swego pobytu w nim o kilka dni. Przybył pan Beneszek, starosta mościski, zawsze nam bardzo przychylny, przybył też i pan aptekarz Szulbot i każdy z nich ofiarował pomieszkanie o. superiorowi u siebie. Lecz o. superior nie uważał za stosowne, aby ich gościnność przyjąć, ani nawet by dłużej być ciężarem ks. kanonikowi. Ułożywszy się z księżmi wikarymi - ks. Tomaszem Frankiewiczem i ks. Konstantym Marszałowiczem - łóżko sobie sprowadził do kancelarii parafialnej na wikarówce i tamże od 1 aż do 11 czerwca włącznie sypiał [...] i tak oczekiwał przybycia o. prowincjała.

Tymczasem nie sam wybrał się o. prowincjał dnia 3 czerwca wieczór z Wiednia. Miał bowiem ze sobą braciszka nowicjusza Nepomucena Grała. Ten dobry braciszek Polak, urodzony dnia 10 maja 1852 r. na Śląsku pruskim, kilka lat spędził



w Wieliczce przy reformatach. Wstąpił nawet do nich, ale mu zdrowie nie pozwoliło w nowicjacie pozostać. Wystąpiwszy z nowicjatu, jeszcze jako tercjarz pozostał u nich, wielkie im przysługi czyniąc jako zdolny mularz<sup>1</sup>. Lecz nie tylko im, ale i karmelitankom nowo osiedlonym w Wieliczce. Dla nich to wiele pracował, ażeby klasztor urządzić i kaplicę wybudować, do której przełożona sprowadziła od ojców naszych w Rzymie obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Ona to i św. Teresa zapewne urządzili, że roku 1881, kiedy pielgrzymka słowiańska wyruszyła do Rzymu na dzień św. Cyryla i Metodego, przyłączył się i Jan Nepomucen Grał. Miał on list od matki przeoryszy karmelitanek do naszego generała. Lecz oto coś tak dziwnego ogarnęło Jana Nepomucena Grałę, gdy wstąpił do Villa Caserta, że rzucił się do nóg o. generałowi i prosił o przyjęcie. O. generał przyjął go i dał mu list do o. prowincjała w Wiedniu. Porozumiewszy się z ojcami w Wiedniu i załatwiwszy interesy w Wieliczce i w domu rodzicielskim, w pierwszych dniach listopada 1881 r. przybył jako kandydat do Wiednia. Stamtąd zaraz został posłany do Leoben, a następnie do Eggenburga i tam przyjął habit w dzień św. Teresy 1882 r. Tak św. Teresa, wielka fundatorka i odnowicielka Karmelu, przygotowała br. Nepomucena, aby nam z rzemiosła swego mularskiego stał się bardzo użytecznym w fundacji mościskiej.

Oprócz braciszka o. prowincjał miał ze sobą pana Schmalzkowra, budowniczego z Wiednia, człowieka bardzo pobożnego (penitent o. Teudlera) dobrze obznajmionego z naszymi potrzebami klasztorными. Gdy przybyli do Krakowa, o. Łubieński zaprowadził ich do wizytek, gdzie o. prowincjał

<sup>1</sup> mularz

Mszę św. odprawił i przy kracie zjadł śniadanie. Po czym, odprawiwszy braciszka z panem budowniczym, aby Kraków obejrzeli, wraz z o. Łubieńskim poszedł do ks. bp. [Dunajewskiego]. Właśnie w tej chwili cały kler krakowski zgromadzony czekał w świetnych komnatach Pałacu Biskupiego, aby przywitać wyznawcę wiary świętej przezacnego ks. arcybiskupa warszawskiego Zygmunta Felińskiego, wracającego z dwudziestoletniego wygnania w Jarosławiu, w głębi Rosji. Nie można było natrafić na nie dogodniejszą porę, jednakże ks. biskup zawołał ojców do swego pokoju i jak najuprzejmiej z o. prowincjałem rozmawiał i wreszcie na obiad zaprosił. [...]

Po obiedzie o. prowincjał najął fiakra i na Bielany pana Schmalzkowra oraz o. Łubieńskiego i br. Nepomucena zawiózł.

Wreszcie o 10 wieczór wyjechał do Mościsk. Tu wraz z budowniczym u ks. kanonika gościł. Zaczęły się obrady co i jak miało być odrestaurowane. Dom niezawodnie potrzebował reperacji, ale kościół stał w gruzach i wyglądał jak okropna rudera - wcale nieotynkowany, cegiel tu i ówdzie brakowało, przedstawiał smutne widowisko. Nie było więc wątpliwości, że od kościoła trzeba było zacząć i konieczne mury otynkować i gzymsami trochę upięknąć. Pan budowniczy zaś zabrał się do oglądania klasztoru. Zrazu zupełnie był przekonany, że nic nie można lepszego zrobić, jak stary budynek zburzyć i nowy klasztor wystawić ze strony miasta w ogrodzie. Lecz przez o. superiora proszony, aby o tym ani myślał, zabrał się do bliższego zbadania murów i, widząc ich grubość, przekonał się, że jeszcze można je użytkować. Zaczął brać rozmiary istniejącego budynku, aby zmiany i dodatki w nowym planie w Wiedniu odrysować. Załatwiwszy wszystko, o. prowincjał pobłogosławił o. superiorowi i braciszkowi i dnia 7 czerwca raniutko opuścił Mościska. Pana budowniczego samego do Wiednia odprawił, a sam w Rzeszowie się zatrzymał, aby do Babicy do pana Rogera Łubieńskiego dojechać. Tu właśnie podczas obiadu przybył z jasielskiego o. Bernard Łubieński i rozmówiwszy się z nim, tej samej nocy powrócił do Wiednia.

Przy końcu pierwszego tygodnia czerwca Urząd Podatkowy wyniósł się nareszcie z klasztoru. Zaraz o. superior kazał braciszkowi wybielić te pokoje i wymyć podłogi, tak że dnia 11 czerwca i superior i braciszek przenieśli się do klasztoru, zakupiwszy wprzód kilka łóżek, krzeseł i stołów jak najprostszych.

Tego samego dnia przybył ks. kanonik, pan Krukowski, pan Czerkowski i z dwoma członkami komitetu - Józefem Kobyłańskim i Maciejem Hołdą - jak najszczegółowiej wymieniając wszystko co było w kościele i w zakrystii, zrobili inwentarz i oddali konwentowi redemptorystów.

Dobrze tu [będzie] wymienić stan wewnętrzny kościoła, jakieśmy go z rąk miasta otrzymali. Wielki ołtarz stał na samej posadzce kościoła. Były w nim dwa obrazy: większy Matkę Bożą Różanicową przedstawiał, a mniejszy na górze

św. Katarzynę. Pod Matką Bożą był też obraz Pana Jezusa ukrzyżowanego. Dwa tylko były boczne ołtarze: św. Antoniego Padewskiego na północnej stronie, pod którym był też obraz MB Wniebowzięcia, a na górze św. Magdaleny - tenże ołtarz był bardzo lichy i stary; na południowej zaś stronie dość piękny odświeżony ołtarz św. Agaty, mający też obraz mniejszy na górze św. Apolonii. Ambona ogromna i szpetna [była] w środku kościoła na południowej stronie; organki dość wdzięczne na chórze i ławki w kościele i w prezbiterium, otóż wszystko to odbijało się o zakazane i opajęczniałe ściany kościelne, niegdyś białe, na których tu i ówdzie obrazy wisiały rozmaitej wielkości. Zakrystia na stronie Ewangelii, wilgoci niesłychanej, posiadała kielich, monstrancję i jedną puszkę, ornaty jeden każdego koloru i jak najmniej bielizny kościelnej. [...]

Jedną z trudności, z którą mieliśmy do pokonania na samym wstępie fundacji było mniemanie ogólne w całej okolicy, żeśmy przybyli z niesłychanymi bogactwami. To samo żeśmy potrafili 12 000 złr za klasztor zapłacić; żeśmy się zabierali do restauracji kościoła bez ogłoszenia żadnych składek; wreszcie hojne ofiary od o. prowincjała i ojców dane przy pierwszych podróżach do Mościsk, rozniosły się w całym sąsiedztwie i ludzie o bajecznym majątku naszym mówili. Niejeden przybywał, aby prosić o jałmużnę lub o pożyczkę stu lub więcej reńskich, jak gdybyśmy w bankierów się bawili; a gdy my mówiliśmy, że zupełnie inaczej się z nami dzieje, wierzyć nam nie chciano i dopiero powoli przekonano się, że w samej rzeczy w ubóstwie wielkim żyjemy, i że radzi byłismy od nich mieć pomoc. [...]

Wieczorem 22 czerwca o. superior pojechał na kolej na przeciw o. Łubieńskiemu, [następnie] do ks. knonika z nim pojechał, potem do klasztoru, gdzie go we wspaniałym pokoju (później refektarzu) umieścił. Sam zaś w małej kuchence (obecnie rozmównicy) zamieszkał. Tego wieczoru zgromadzenie ostatni raz na wikarówkę poszło na kolację, a od następnego dnia aż do przybycia brata kucharza, służąca od pani Antoniowej przynosiła nam obiad i kolację do klasztoru.

O. superior kazał zrobić tymczasowy konfesjonał dla siebie, a ponieważ o. Łubieński otrzymał już jurysdykcję od ks. biskupa ustnie, obydwaj ojcowie zaczęli w konfesjonałach pracować. I zaraz nazajutrz, ponieważ był to odpust w Mościskach, dzień św. Jana, bardzo wiele ludzi obstępowało konfesjonały. [...]

26 czerwca przysłał nam o. prowincjał brata kucharza i od tego dnia wieczorem, w klasztorze, w pokoju ojca superiora zaczął gotować dla nas, a tym bratem był Pius Waclaw Bilek, urodzony w Czechach. [...] Brat Pius trudnił się kuchnią i zakrystią, gdy br. Nepomucen, oprócz pracy mularskiej przy kościele, został furtianem. [...]

Nareszcie przyszedł miesiąc lipiec. Odrestaurowanie kościoła, pomimo doglądnięcia braciszka Nepomucena, szło zbyt powoli i nie można było liczyć

na robotników, aby wykonali kontrakt. Niemało było trzeba uważać, aby nie otynkowali na gładko cały kościół, a zostawili ogryzmsowanie, co stanowi jedyną ozdobę kościoła na zewnątrz. Aby nieco ozdobić strukturę, dodaliśmy cztery piramidy, czyli ostrosłupki, dwa na facjacie, a dwa nad prezbiterium. Nagliliśmy ludzi, aby nie zasypiali przy robocie, tak że przynajmniej jedna, północna strona, była skończona na dzień Najświętszego Odkupiciela.

Na to też święto wielkie przygotowania robiliśmy na zewnątrz. Jedna klasa szkolna wyniosła się szybko w lipcu z izby (obecnej zakrystii) i tam o. superior przeniósł się z kuchenki. Tam też obiad mieliśmy i wieczerzę. Pan dyrektor szkoły miał swoje mieszkanie w dolnej części domu, ale już o. superior kazał wybić drzwi z korytarza do refektarza, aby połączyć owe trzy pokoje z całym domem. [...]

Gdy nadchodził dzień 15 [lipca] rozesłane były afisze litografowane do dworów i dworków w okolicy oznajmiające o odpuście naszym mieszkańcom, gdyż lud aż nadto pragnął abyśmy do nich przemówili. Afisze te były następującej treści:

„W niedzielę 15 lipca br. przypada uroczystość tytułarna Najświętszego Odkupiciela w kościele św. Katarzyny przy klasztorze ojców redemptorystów w Mościskach. Porządek nabożeństw następujący: prymaria o godzinie 5.30, wotywa o 7, suma o 8.30 śpiewana przez przewielebnego ks. kanonika Stojalowskiego, proboszcza mościskiego. Kazanie podczas sumy. Nieszpory o godzinie 5. Zaprasza się wiernych do gorliwego brania udziału w tej uroczystości zakonu i do dostąpienia odpustu nadanego przez ojca św. Piusa IX ojcem redemptorystom w Mościskach”.

Widząc z dotychczasowego doświadczenia, jak lud się garnie do spowiedzi, zaprosiliśmy ojców reformatów z Przemyśla; było ich dwóch: o. prowincjał i o. May.

Nareszcie zawitał dzień oczekiwany, dzień, kiedy miasto oddać nam miało kościół, dzień 15 lipca. O. Łubieński miał prymarię z wystawieniem. Ks. Łabuda odśpiewał wotywę, gdyż ks. kanonik nie był zdrów. Ks. kanonik Sołtysiak z Sądowej Wiszni miał sumę, [...] a o. Łubieński miał kazanie. Niemało mieliśmy pracy, aby ugościć wszystkich i mieć wszystko w pogotowiu, kiedy jakby na złość tego rana, gdy br. Pius chciał śniadanie przygotować, tak dym zaczął buchać z pieca, że nie można było nic ugotować. Z kuchni pana dyrektora [szkoły] trzeba było więc skorzystać. Powiedziano, że to promień słońca wpadł w komin. O. superior zaś mniemał, że nie było to zdarzenie naturalne. Pomimo tego, wystawiliśmy się i do obiadu zasiadło dziewięć osób. Był bowiem i pan starosta i pan burmistrz.

Po południu odśpiewaliśmy nieszpory, a wieczorem przybył ks. Korzekwa, proboszcz radenicki, na pogawędkę.

Od tego czasu co niedzielę mieliśmy o tej samej godzinie jak 15 lipca dwie Msze św., tylko że przed sumą było kazanie, aby nie tracić czasu, bo od tego dnia nieustannie w konfesjonale całą niedzielę siedzieliśmy aż do 4 i 5 godziny. O 5 zaczęliśmy dawać nauki o różańcu świętym.

Kronika klasztoru redemptorystów w Mościskach,  
tom I, s. 38-47.

## PIERWSZE NASZE MISJE



Jakkolwiek ks. Stojałowski, proboszcz w Kulikowie, pierwszą naszą misję odprawioną przez o. Jedka szumnie opisał w gazecie *Bonus Pastor*, duszpasterze w Galicji bynajmniej się nie kwapili z zapraszaniem nas na pracę dla swych parafian.

Na to składała się niejedna przyczyna. Po pierwsze, było nas tylko czterech ojców (Jedek, Meissner, Drobisz i ja). Po wtóre, duchowieństwo przemyskie uważało nas za Niemców. Powiedział mi to raz pewnego proboszcz ze Stojanic, ks. Niedzielski: *Wszystko po niemiecku urządzacie*. Podobnie wyraził się do mnie ks. biskup Solecki: *Nauzcicie się tam w Mościskach po polsku, a wtedy was będziemy używać do pracy*. Następnie od nieszczęsnej rzezi galicyjskiej misje trzymali w swym ręku księża jezuici. Oni byli jedynymi misjonarzami. Świetne i głośne były ich misje, często dawane na cały dekanat. Stąd zgiełk wielki, ludu z całej okolicy tysiące, zjazd kapłanów do spowiadania liczny, wprawdzie i wydatki dla księdza gospodarza nie małe, ale ojcowie jezuici potrafili zorganizować fundusze przez stowarzyszenie kapłanów *Bonus Pastor*. Misje te, aczkolwiek tak gwarne i jak mówiono „jarmarczne”, mimo to cudowne wydawały owoce. Namacalne ich skutki oglądaliśmy z o. Jedkiem po przybyciu do Mościsk, bo dwa lata temu odbyła się taka misja dekanalna w Husakowie. Ile to pijaków mościskich odrzekło się wtedy wódki i aż do śmierci nie pili, ileż rozpustnic weszło na drogę do pobożności... Jak pilnie od czasu tej misji wikarzy w Mościskach przesiadywali w konfesjonalach. Misje te jezuickie były jak orkan, który wstrząsnął Galicją po uśpieniu



józefińskim i przygotowały nam drogę na nasze misje alfonsjańskie, spokojne, wyłącznie dla jednej tylko parafii głoszone.

Dać tu muszę, że i o. Jelek i ja musieliśmy długo wojować z proboszczami, którym zgłęb przybywających z okolicznych parafii, zjazd księży itd. bardzo się podobał. Dopiero kiedy się przypatrzyli naszej pracy, zasmakowali w niej, a nawet do pewnego stopnia wyparliśmy jezuitów z Galicji. Pomagał nam bardzo ks. Skrzyński jako moderator stowarzyszenia kapłanów *Bonus Pastor*. [...]

Ponieważ nie udało się nam zrazu rozwinąć działalności misyjnej w diecezji przemyskiej, Bóg raczył nam otworzyć inne pole pracy w diecezji tarnowskiej. Po pierwszej misji w Rożnowie następują misje w Piotrkowicach, Odporyszowie, Szczawnicy, Podegrodziu itd.

Następnie po konsekracji ks. Puzyny na sufragana we Lwowie ta diecezja nam się na oścież otwarła, kiedy za jego inicjatywę wyszło rozporządzenie, że każdą wizytację ma na rok poprzedzić misja parafialna. Tutaj system św. Alfonsa, żeby misje były dla każdej parafii z osobna, z całą swobodą można było zastosować. Gdy ks. biskup Puzyna przeniósł się na stolicę św. Stanisława, zavezwał nas z Mościsk do pracy w diecezji krakowskiej.

Wprzód jednak otworzyło się nam Poznańskie. Stało się to dla domu w Mościskach istnym zbawieniem. Bo jak o. Janeček raz mi powiedział, dopiero kiedy marki pruskie z Poznańskiego i Prus Zachodnich zaczęły napływać, mogliśmy pomyśleć o założeniu nowicjatu i studentatu.

Było to w roku 1889, kiedy Kulturkampf pruski trzymał jeszcze Kościół w kajdanach. Jezuitom i pobratymczym im zakonnikom, więc i nam pobyt w Reichu był wzbroniony. Stolica prymasowska po uwięzieniu ks. arcybiskupa Ledóchowskiego była osierocona, wypędzono sercanki, urszulanki i karmelitanki. Prześladowanie to jednak ogromnie rozbudziło ducha religijnego.

Do Poznańskiego zaprosiła mnie nieznaną mi dotąd zupełnie pani Kwilecka z Dobrojewa. Nie mogłem się oczywiście w Prusach pokazać w habicie redemptorysty. Przebrałem się więc za księdza świeckiego i tak, mimo drakońskich praw Falka, dostałem się przez granicę. [...]

Ledwie zajechałem do Poznania, zabrali mnie Chłapowscy przy ulicy Młyńskiej do swego mieszkania i zaraz tam miałem pierwszą naukę do elity polskiej w Poznaniu, do pań i panów tłoczących się w salonie i dwóch przyległych pokojach. Jak mi ta pierwsza wstępna nauka poszła, Bogu wiadomo... *Positus eram in angustiis*<sup>1</sup>. Pierwszy raz, co w salonie

<sup>1</sup> Łac. znalazłem się w trudnościach.

przemawiać musiałem - zmęczony podróżą, źle przygotowany, nie mając czasu na rozejrzenie się w sytuacji i rozejrzenie się w audytorium. Straszna to była dla mnie chwila. Ale Bóg dał, że moich słuchaczy zadowolilem, bo zdecydowali, że u Chłapowskich za ciasno i że od razu nazajutrz rano przeniesiemy się do św. Józefa, gdzie praca moja nie zwróci na siebie uwagi policji. Jest to szpital dziecięcy sióstr szarytek. Dziś stoi przy nim piękny kościółek. Wtedy była kaplica domowa w głębi domu, do której wstęp był przez furtę. [...] Tutaj odtąd rok po roku przez pięć lat, a może i więcej, dawałem po kilka serii rekolekcji, czy to dla inteligencji, czy dla pensjonarek, czy dla dzieci Maryi, znakomicie przez szarytki prowadzonych.

Zaraz po tych rekolekcjach zaproszono mnie na misję do Żegocina. [...] Byłem wtedy młody (w r. 1889), więc rzuciłem się *con amore*<sup>2</sup> do tej racy i sam wygłosiłem wszystkie kazania całej dziesięciodniowej misji z naukami stanowymi itd. Tylko w spowiedaniu pomagali mi księża okoliczni. Pamiętam, że wtedy się porządnie zmachałem, ale Bóg dał, że skończyłem bez szwanku. Żegocin leży na ustroniu, więc mnie policja nie niepokoiła.

Stąd udałem się do Kwileckich do Dobrojewa. [...] W pałacu była kaplica w suterrenach, tu więc dałem misyjkę dla ludzi dworskich i ze wsi. Odtąd częściej bywałem w Dobrojewie, bo pani Barbara urządziła w swej kaplicy rozmaite rekolekcje: dla służby, dla wychowanek swoich, bo miała zakład dla dziewcząt wiejskich, dla synów i paniczów zaproszonych z całego Księstwa. Kilku z nich poszło na kapłanów, między nimi o. Adolf Żółtowski.

Dopóki Kulturkampf się srożył, pracowałem w ukryciu po dworach Morawskich w Kotowiecku i Jurkowie, u Chłapowskich w Czerwonej Wsi i Kopaszewie, u Czartoryskich w Rokosowie, u Brezów w Więckowicach. Niebawem ks. biskup Likowski mnie zaprzął do rekolekcji dla kapłanów.

Wreszcie w lecie roku 1890 wraz z o. Jedkiem dałem wielką misję w Sobótce, jedną z tych „jarmarcznych” misji dekanalnych. Po wygnaniu jezuitów system ich przejęli księża świeccy misjonarze, na których czele stanął ks. Kubowicz. Z nim poznałem się i zaprzyjaźniłem na misji w Żegocinie i Sobótce, i on naszych ojców łączył ze swymi księżmi przez kilka lat, dając wobec władz pruskich swoją firmę. Sporo takich misji dawaliśmy w Zbąszyniu, Kościanie, Przemęcie itd. Powoli jednak kiedy Prusacy przestali nas ściagać, odczepiliśmy się od tego rodzaju pracy, ponieważ nam nie odpowiadał.

Jak wszędzie tak i w Poznańskim starałem się o dobre relacje z władzą duchowną. Po uwięzieniu prymasa Ledóchowskiego rządy

<sup>2</sup> Łac. z miłością.

[w] diecezji sprawował sufragana jego i na soborze watykańskim jego przyboczny teolog, ks. Likowski. [...] Prusacy, nie chcąc na stolicę w Poznaniu dopuścić Polaka, sprowadzili kandydata aż z Królewca, ks. prob. Dindera. [...] Mądrość swą w tym pokazał, że pozwolił rządy sprawować ks. Likowskiemu. Oczywiście poznaniakom jako Niemiec był *persona non grata*, choć powoli wszystkich szacunek sobie zdobył.

Po śmierci ks. arcybiskupa Dindera, który niedługo rządził stolicą św. Wojciecha, udało się doprowadzić na nią Polaka w osobie ks. Stablewskiego. Poznałem go już podczas rekolekcji, jakie w roku 1890 dawałem w Poznaniu dla kapłanów. [...] Jedno dobro, które ks. Stablewski w diecezjach swych zaprowadził, i to wielkie dobro, to był żywy różaniec w każdej parafii. Bardzo gorliwie do tego zabrał się ks. Lewicki, proboszcz u św. Marcina, pomagała mu w tym pani Maria Wilczyńska, tak że w każdym stanie zgromadził tak licznych członków, że można było dla każdego stanu osobno rekolekcje urządzać. Na te rekolekcje ks. Lewicki zapraszał mnie przez 10 lat, tak że mnie u św. Marcina wszyscy znali jak stary grosz i muszę przyznać, że z zamiłowaniem się tej pracy oddałem, chociaż nie była lekka.

Podobne rekolekcje dawałem w kościele Bożego Ciała, gdy mnie tam spotkało nieszczęście. Tuż po przyjeździe upadłem i tak sobie nogę uszkodziłem, że nawet o lasce chodzić nie mogłem. Toteż rychło rano, gdy około czwartej, bo w tym czasie zwykle na takich rekolekcjach Msze św. odprawiałem, by na piątą być gotów do kazania, ludzie zaczęli do kościoła się schodzić, kazałem przez gospodynię dwóm tęgim mężczyznom zanieść się na środek kościoła i tu przy owym ołtarzu jako tako Mszę św. odprawiłem, a potem siedząc przy tym ołtarzu wygłosiłem naukę. Ale z nogą było coraz gorzej, więc zatelegrafowałem po o. Palewskiego. Zanim jednak przyjechał, żeby się rekolekcje nie przerwały, wynoszono mnie rano i wieczorem do kościoła na kazanie. A ponieważ ambona była tu bardzo wysoka z wąskimi schodami, stawiano katafalk tuż pod amboną i z katafalku na krześle z wyciągniętą chorą nogą kazanie głosiłem, aż o. Palewski przyjechał i rekolekcje dokończył.

Prześladowanie religijne i narodowe dziwnie wyrobiło Polaków pod zaborem pruskim. Toteż Fredro trafnie powiedział, że Polacy powinni Bismarckowi pomnik postawić jako wielkiemu swemu dobrodziejowi, bo prześladowaniem swym przyczynił się do odbudowania Polski. [...]

Zdawało się rzeczą naturalną, że po pomyślnym rozwoju naszej pracy w Poznańskim, otworzy się nam Śląsk. Istotnie, ks. proboszcz Wrzodek z Opola urządził u siebie czterotygodniową misję, dwa tygodnie dla Polaków i dwa tygodnie do Niemców. Dla Polaków zaprosił naszych

ojców z Mościsk. Potrzeba było interwencji aż u trzech ministrów, żeby wywalczyć pozwolenie na głoszenie kazań dla mnie, bo pierwotnie nadzedeł zakaz z Berlina. Ponieważ była to nasza pierwsza misja na Śląsku, uważałem za stosowne złożenie czołobitności jej rządcy, kardynałowi Koppowi. Stawiłem się u niego, ale on mnie nie chciał przyjąć, poszedłem do znajomego mi wikariusza generalnego, ale na próżno. [...] Dopiero wojna, ufajmy, otworzy nam Śląsk polski do pracy.

o. Bernard Łubieński, *Wspomnienia*, Kraków 2009, s. 209-219

## **Wspomnienia i świadectwa o Czcigodnym Słudze Bożym o. Bernardzie Łubieńskim**

*Wszystkim stałem się wszystkim, abym wszystkich zbawił* (1 Kor 9,22)

Przyznam się szczerze, Najmilsi w Chrystusie Panu, że gdy ta uroczystość jubileuszowa, uroczystość złotych godów kapłańskich, zrządzeniem Opatrzności Bożej wypadła w niedzielę, w którą Kościół święty czytać każe Ewangelię o dobrym Pasterzu (J 10, 11-16), wstępuje w serce pokusa, by nawiązywać porównania i mówić dziś o owym dobrym pasterzu-kapłanie, co to duszę swoją rad złożyć za owce, który zna swoje i one go znają, on jednak miłości pełnym spojrzeniem wybiega poza wiernych owieczek gromadę ku tym drugim owcom, które nie są z tej owczarni, a które potrzeba, aby przywiódł, iżby stała się jedna owczarnia i jeden Pasterz. Ale wiem, że przez to obraziłbym pokorę Jubilata, który mnie odpowie, i słusznie odpowie, że jeden jest tylko prawdziwy Pasterz dobry, który się tam, w tabernakulum, znajduje, a inni pasterze to słudzy tylko, pomocnicy, owszem tylko słabe narzędzia w rękę jedyne go Pasterza. I jeżeli na nas, kapłanów, jakiś zaszczyt spływa, to tylko ten, żeśmy pomocnikami tak wielkiego i dobrego Pasterza dusz ludzkich. Dlatego porzucę te wszystkie porównania i w tym jubileuszowym dniu dzisiejszym pragnąłbym, Najmilsi Bracia, obrócić myśl i uwagę Waszą na życie takiego właśnie sługi i „pomocnika Pańskiego” (1 Kor 3,9), życie kapłana-zakonnika-apostoła, życie, które w tych słowach największego z apostołów św. Pawła się zawiera: „Wszystkim stałem się wszystkim, abym wszystkich zbawił” (1 Kor 9,22).

Lat temu pięćdziesiąt, gdzieś w dalekiej obczyźnie była świątynia i ołtarz, i przy ołtarzu stał zastępca apostołów, a przed nim klęczał młody, ubogi zakonnik, w dalekiej polskiej urodzony ziemi. Ty pamiętasz tę chwilę, Dostojny i Drogi Ojciec Jubilacie, gdy padłeś na twarz przed ołtarzem, a biskup Ci błogosławił i modlił się wraz z ludem za Tobą:



Potykaniem dobrem potykalem  
 się, zawodum doskonał, wierem zachował — na cielek odłożen mi jest  
 wieniec sprawiedliwości.  
*II. Tym. IV. 7. 8.*

Pamięłka  
 50 lat kapłaństwa  
 O. Bernarda Łubieńskiego  
 Redemptorysty  
 29 grudnia 1920.

☩

Weselać się będę się weselił w Panu,  
 i rozraduje się dusza moja w Bogu  
 moim, iż mnie obłoki w szaty zbawie-  
 nia i ubiorem sprawiedliwości odział  
 mię.  
*Is. 61.*

„byś tego wybranego pobłogosławić i uświęcić raczył, Ciebie prosimy, wysłuchaj, nas Panie” (Pontif. Rom.). A potem w imieniu Kościoła św. zaklinać Cię począł, by „nauka Twoja była duchowym lekarstwem ludu Bożego”, a „wonność cnót i życia Twego by była uweseleniem Kościoła”, byś „słowem i przykładem budował dom, to jest rodzinę Bożą”. I ręce położył Ci na skronie i prosił Boga, by „mocy łaski kapłańskiej udzielił Ci raczył, by pełność sprawiedliwości mieszkała w Tobie zawsze”. I namaścił Ci dłonie olejem świętym, „aby to, co one błogosławią, było błogosławione, a co poświęcą, było poświęcone”, aż wreszcie kielich z chlebem i winem Ci podając, wyrzekł te słowa, których się nie zapomina, bo one na dnie duszy kapłańskiej zawsze aż do końca dźwięczą: „Weźmij moc składania Ofiary Bogu i odprawiania Mszy świętej tak za żywych, jako za umarłych. W imię Pańskie” (tamże).

I poszedł młody kapłan-apostoł, tą potęgą sobie daną zbrojny, poszedł w życie za sztandarem Chrystusa, by w apostołskim zakonie walczyć o sprawę Jego, czynić ludzi uczestnikami Odkupienia. Poszedł, a czym było Jego życie?

Czymże być może życie apostoła ukrzyżowanego Boga i Pana, jeśli nie życiem krzyża? Były więc w życiu apostoła krzyże. Najpierw krzyże lekkie: choroba, która zda się wszystkie siły i wszelką możność pracy mu odbierała; wyrzeczenie się rodziny, którą ukochał, a której przecież tylko rzadkie i krótkie mógł poświęcać chwile; wyrzeczenie się godziwych nawet rozrywek i przyjemności; życie w ubóstwie i niewygodach;

wreszcie ciągle i nieustannie zapieranie się siebie, swojej własnej woli przez posłuszeństwo danym sobie od Boga przełożonym.

To były krzyże lżejsze. A potem przychodziły i cięższe. Pierwszym takim ciężkim krzyżem w życiu zakonnika-apostoła jest świadomość własnej niegodności. Odkąd tylko szczytnie sprawuje posłannictwo, co dzień by te słowa Pisma powtarzać pragnął: „Cóżem ja jest, Panie Boże..., żeś mnie przywiódł aż dotąd?” (2 Krl 7,18). I z jednej strony stoi przed nim szereg niezliczonych darów i dobrodziejstw Bożych, to wyniesienie niezmiernie ponad ogół ludzi, czuje on w sercu szlachetne porwy i pragnienia, z drugiej zaś strony widzi ciągle braki w odpowiadaniu tym łaskom, czuje niewypowiedzianą słabość do dobrego, nieustannie w sobie błędy, uchybienia i grzechy, które nie tylko jemu samemu szkodzą, ale nadto częstokroć udaremniają jego apostołskie prace. Tytu było innych, może lepszych od niego, a jednak jego właśnie Bóg wybrał, jemu zlecił ten nadziemski „urząd jednania” (2 Kor 5,18), jego postawił między niebem a ziemią. Dodać przy tym trzeba, że dla ustrzeżenia sług swoich od pokus próżności i pychy, zwykł Pan Bóg ich obdarzać sumieniem delikatnym i czułym, które każdy najdrobniejszy pył dostrzeże, co jeśli nie zabrudza, to choć trochę zaćmiewa jaśniejącą biel czystości duszy. I wśród tych uczuć sprzecznych bardzo cierpi apostołskie serce i rade słowami św. Pawła się skarży: „Widzę inny zakon w członkach moich, sprzeciwiający się zakonowi umysłu mojego i biorący mnie w niewolę... bo nie czynię dobrego, które chcę, ale złe, którego nie chcę, to czynię... albowiem chcieć przy mnie jest, ale wykonać dobre nie znajduję... nieszczęsny ja człowiek, któż mnie wybawi od ciała tej śmierci?” (Rz 7,18-24). Tak, mieć świadomość swojej nędzy ludzkiej - to wielki krzyż dla każdego, kto kocha Boga lub kochać Go pragnie.

A drugi krzyż, bodaj czy nie cięższy jeszcze, jest to panowanie zła w świecie. Przez wszystkie dni swego życia kapłan-apostoł spotyka się nieustannie z grzechem, który bądź ukryty, bądź w jawności swej bezwstydnym, szerzy się i panoszy w tak wielu duszach ludzkich. Widzi to nieustannie marnowanie owoców Odkupienia, widzi, jak ludzie nieustannie obrażają tego tak dobrego Boga, który wszystko uczynił, aby pozyskać ich miłość i szczęście im zapewnić, widzi te nieskończone szeregi straszliwych zbrodni i grzechów, widzi te liczniejsze jeszcze, a przecież bardzo haniebne i bolesne niewierności i małe grzechy dusz wybranych, które zdawać by się mogło tym bardziej swą świętością zadość czynić by Bogu winny za grzechy świata, widzi złą wolę lub lekkomyślność i niedbalstwo, wreszcie, co najgorsze, widzi grzech tam, gdzieby przede wszystkim być go nie powinno, widzi splugawienie ołtarza Pańskiego i świętokradztwo

szerzące się tam, gdzie najwyższa ma być świętość – widzi to i płacze i cierpi bardzo, bo szczególnie bolało Najświętsze Jezusowe Serce, a dziś boli serca apostołów Jego pocałunek i zdrada Judasza.

I widząc, że wśród tego morza złości ludzkiej, wysiłki jego są czymś niezmiernie znikomym i małym, rad by już na to nie patrzeć i tęskną myślą ku niebu się wznosić, i z głębi duszy z Pawłem świętym woła: „Pragnę być rozwiązany i być z Chrystusem” (Flp 1,23), „ale zostać w ciele potrzeba dla dobra dusz” (tamże w. 24), stoi więc na posterunku, i stać będzie, i wytrwa aż do końca.

Ale krzyże sług Bożych to mają do siebie, że nigdy się nie zjawiają bez towarzyszącej im pociechy: więc były i pociechy w życiu apostoła. Najpierw pociechy mniejsze: taką pociechą był powrót do kraju po długich latach pobytu na obczyźnie; dalej siły, cudownie zda się mimo choroby i kalectwa podtrzymywane, które mu pracować tak wiele pozwalały; potem bliskie i serdeczne stosunki z tak wielką liczbą przyjaciół i najbliższych, którzy go czcią i miłością otaczali.

A potem pociechy większe. Pierwsza taka wielka pociecha to spokój sumienia, ten „pokój, który sam tylko Bóg daje, którego świat dać nie może” (J 14,27), a którego nie znają bezbożni (Iz 48,22), ta jasność duszy, która wypływa z tej pełnej pokory ufności, że się Boga ciężko nie obraża, że się Go miłuje, że się ma poczucie łaski i miłości Jego.

Drugą wielką pociechą apostoła jest codzienna Msza święta. Od tylu lat, od tej chwili, kiedy po raz pierwszy w życiu drżącą ręką podnosił ku górze Przenajświętszą Hostię, aż po dzień dzisiejszy, dnia każdego niemal na głos jego Pan przybywał na ołtarz, dnia każdego ten sam słodczy pełen głos zdawał się doń przemawiać: „Pożądaniem pożałowałem spożywać tę Paschę z tobą... już cię nie będę zwał sługą... lecz cię nazwałem przyjacielem” (Łk 22,15, J 15,15), dnia każdego zstępował Pan do jego serca i szeptał mu ciche, niedostrzegalne dla ucha, a przecież wyraźne, dobre, szczęście i pokój niosące słowa i zwierzenia swoje, a to jest wielkie szczęście i wielka pociecha słyszeć, co Pan w głębi duszy przemawia.

Inną znowu taką pociechą w życiu zakonnika-apostoła jest miłość powołania zakonnego. O! bo jak się jest zakonnikiem, to się kocha tę celę i chętnie się do niej wraca i chociaż ściany jej gołe i puste, ale przecież miłsze są sercu od adamaszkiem i złotem wykładanych pokoi. Jak się jest zakonnikiem, to się kocha ten ubogi swój habit, te zwyczaje i reguły swego zakonu, kocha się ten dzwonek, co od rana, gdy po raz pierwszy ze snu do modlitwy i pracy zawoła, tak dźwięczy przez dzień cały i wolę Bożą wskazuje, aż do chwili, gdy wieczorem ostatni raz się rozlegnie i nocny spracowanym żniwiarzom Bożym, ogłosi spoczynek. Gdy się

jest zakonnikiem, to kocha się całym sercem i tych braci swoich, co pod jednym z nami sztandarem służą Chrystusowi. I jeżeli każdemu sercu ta miłość braterska jest droga, to w Twoim życiu, Dostojny, Drogi Ojcze Jubilacie, w osobliwy ona objawia się sposób. Oto lat blisko czterdzieści temu przybyłeś do Polski prawie sam jeden, a dziś istnieje polska Twego zakonu prowincja, dziś ten ołtarz liczne Twych młodszych braci otoczyło grono, z których niejednego znasz niemal od dziecka, wszystkich od lat wielu, wszystkim byłeś przewodnikiem i doradcą, i ojcem, a oni dziś Twe imię z miłością i czcią wymawiają i pociechę wielką Ci przynoszą, prawdziwie na większą chwałę Bożą i z wielkim pożytkiem dusz pracując w winnicy Chrystusowej.

Ale ostatnia pociecha chyba dla serca apostoelskiego największa, a jest nią oglądanie owocu swej pracy. Oto od lat 50-ciu nie było w życiu apostoła dnia niemal jednego, w którym by nie pracował w konfesjonale, czy na ambonie, czy też choćby w prywatnej rozmowie. I jak ta polska ziemia długa i szeroka, miejsca na niej prawie nie znajdzie, gdzieby nie przeszła Jego stopa, gdzieby głos Jego nie był słyszany, owszem, dalej jeszcze, bo od Petersburga po irlandzkie wybrzeże ten głos się rozlegał i w najdalsze strony niósł dobrą nowinę Ewangelii, jakby spełniając prorocstwo Psalmisty: „Na wszystką ziemię wyszedł głos jego” (Ps 18,5), i do licznych, do bardzo licznych ten głos dobiegł uszu i w bardzo licznych duszach święte obudził echa. Tu grzesznika z odmetu zbrodni i toni rozpaczy wydobył lub wątpiącego w wierze ojców utwierdził, tu smutnego i płaczącego pocieszył, tam znów pokój i zgodę wniósł w życie małżeńskie, ówdzie zbłąkane dziecię powrócił strapiionym rodzicom, a gdzie indziej ziarno powołania w duszę rzucił lub rzucone staraniem otoczył, ażby się w piękny kwiat rozwinęło i owoce wydało wielkich świętych czynów, albo wreszcie duszy do wyższych rzeczy powołanej, wyżyny świętości wskazywał i ku nim prowadził i kierował.

Dziś cały ten orszak dusz, te tysiące i setki tysięcy stoją przed oczyma jego duszy: bardzo wielu ze czcią i wdzięcznością wspomina imię jego, a choćby ktoś nawet zapomniał o jego przestrodach i radach, choćby popadł ponownie w dawne grzechy, to i wtedy nawet tę pociechę odczuje apostoła serce, że przynajmniej przez czas pewien ukochany przezeń Zbawiciel nie był obrażany. A zresztą nie zawsze chce Jezus Chrystus, byśmy osiągnęli skutki prac naszych, częstokroć samą dobrą zadowolili się chęcią, za dobrą wolę jak i za czyn wynagradza.

I dziś przyszła ta godzina nagrody. Jak przed pół wiekiem, tak i dziś znowu jest świątynia, ale już nie w obczyźnie dalekiej położona, ale w samem sercu Polski, w Krakowie, znowu jest ołtarz, a przed ołtarzem



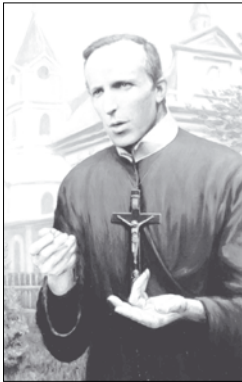
stanął starzec, nie, jakby się tego tradycje rodzinne spodziewać kazały, w biskupie przyodziany fiolety, lecz w czarną ubogą suknię zakonnika. Wiem, że skromność jego wzbraniać się od pochwał będzie, ale nam co na niego patrzymy, te słowa wielkiego Pawła cisną się do serca i na usta: „Oto ten, który potykaniem dobrem potykał się, zawodu dokonał, wiarę zachował” (2 Tm 4,7). Ale zanim mu „odłożony będzie wieniec sprawiedliwości” (tamże w. 8), już teraz na ziemię przyszła dlań godzina nagrody. A jakąż będzie ta nagroda? O! zwykła i codzienna; jak wczoraj, jak od lat pół setki, tak i dziś za chwilę Jezus Chrystus przed nim się zjawi i znowu wprowadzi do „miejsca świętego świętych”; nie, raczej sam Boski Mistrz w sercu wiernego sługi i przyjaciela swego miejsce święte świętych obierze, sam doń przyjdzie i w nim mieszkanie uczyni.

Ale to, co się tam między Panem a sługą, między Wodzem a przyjacielem i powiernikiem, między Zbawicielem a apostołem Jego dzieć będzie, to są „tajemnice królewskie”, które Bóg taić każe (Tb 13,7), tam zbliżyć się nam nie godzi; my patrząc na to z daleka, ze czcią uklękniemy i będziemy się modlić.

A pierwsza modlitwa nasza będzie dziękczynna: prosić będziemy Boga, by przyjąć łaskawie raczył słabe dzięki nasze za to, że ludowi swemu tego apostoła niestrudzonego dać raczył i zachował go nam aż po dzień dzisiejszy, za to wszystko dobro, któreśmy sami od Boga przez jego posługiwanie otrzymali, za te wszystkie łaski, którymi te tysiączne rzesze dusz przezeń obdarzone były. A druga modlitwa będzie modlitwą prośby, by nam tego sługę wiernego i apostoła zacnego swego Bóg przez najdłuższe jeszcze zachować raczył lata. A trzecia modlitwa dalej i szerzej sięgnie: patrzmy tam, Bracia moi, poza mury tej świątyni, na te szerokie łąny polskiej krainy, patrzmy, że „już są białe ku żniwu” (J 4,35). Żniwo czeka wielkie, ale robotników, dobrych robotników jakże mało! Prośmy gorąco dziś Pana żniwa, aby posłał jak najwięcej robotników na żniwo swoje (Mt 9,37-38). Zwróćmy się do Jubilata, niech nam on tych żniwiarzy zastęp u Boga wyprosi, ale takich żniwiarzy, co jak on, „staną się wszystkim dla wszystkich, aby wszystkich zbawić” (1 Kor 9,22). Amen.

Kazanie ks. Henryka Cichowskiego TJ wygłoszone w kościele redemptorystów w Krakowie na Podgórzu z okazji 50-lecia kapłaństwa o. Bernarda Łubieńskiego, 10.04.1921 r.

## PROŚBY I PODZIĘKOWANIA



„Prosimy o łaskę wyzdrowienia z ciężkiej choroby dla Karoliny za wstawiennictwem Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego”.

*Artur i Karolina*

„Ojcie Bernardzie Łubieński, bardzo proszę, wstaw się do Chrystusa i uprosz łaskę zdrowia dla całej rodziny oraz Boże błogosławieństwo w pracy dla Agnieszki”.

*Czcicielka*

„Ojcie Bernardzie, dziękuję za Twoją opiekę. Proszę Cię o wstawiennictwo u Jezusa w intencji uwolnienia z nerwicy lękowej oraz o opiekę w miejscu pracy”.

*Agnieszka*

„Czcigodny Sługa Boży o. Bernardzie Łubieński, proszę o łaskę uzdrowienia z choroby nowotworowej dla mojej żony”.

*Zdzisław*

„Za wstawiennictwem o. Bernarda Łubieńskiego proszę o łaskę uzdrowienia z nieuleczalnej choroby dla mojej mamy”.

*Jacek*

„Ojcie Bernardzie Łubieński, za Twoim wstawiennictwem błagam o łaskę uzdrowienia dla mojego synka Mateuszka”.

*Anna*

„Czcigodny Sługa Boży o. Bernardzie, prosimy, uprosz u Boga łaskę pojednania w rodzinie Mirosławy”.

*proszą rodzice*

„Ojcie Bernardzie, z całą mocą proszę o łaskę uzdrowienia dla syna pana Leszka, a także o potrzebne siły dla najbliższej rodziny”.

*J.*

„Sługa Boży o. Bernardzie, proszę o łaskę nawrócenia dla moich synów, a także o zdrowie dla nas i mocną żywą wiarę”.

*Ewa*

# **MODLITWA O UPROSZENIE ŁASK ZA PRZYCZYNĄ SŁUGI BOŻEGO O. BERNARDA ŁUBIEŃSKIEGO ORAZ O JEGO BEATYFIKACJĘ**

**Boże, który Sługę Twego, Bernarda, obdarzyłeś apostołskim zapalem i mocą ducha w niesieniu krzyża, spraw prosimy, aby ten, który dla prowadzenia ludzi do Królestwa Prawdy i Miłości oddał całe swoje życie, doznawał czci świętych wśród wiernych Twojego Kościoła i był naszym orędownikiem u Ciebie. Udziel nam za jego przyczyną łaski..., której obecnie szczególnie potrzebujemy. Prosimy Cię o to przez Chrystusa Pana naszego. Amen.**

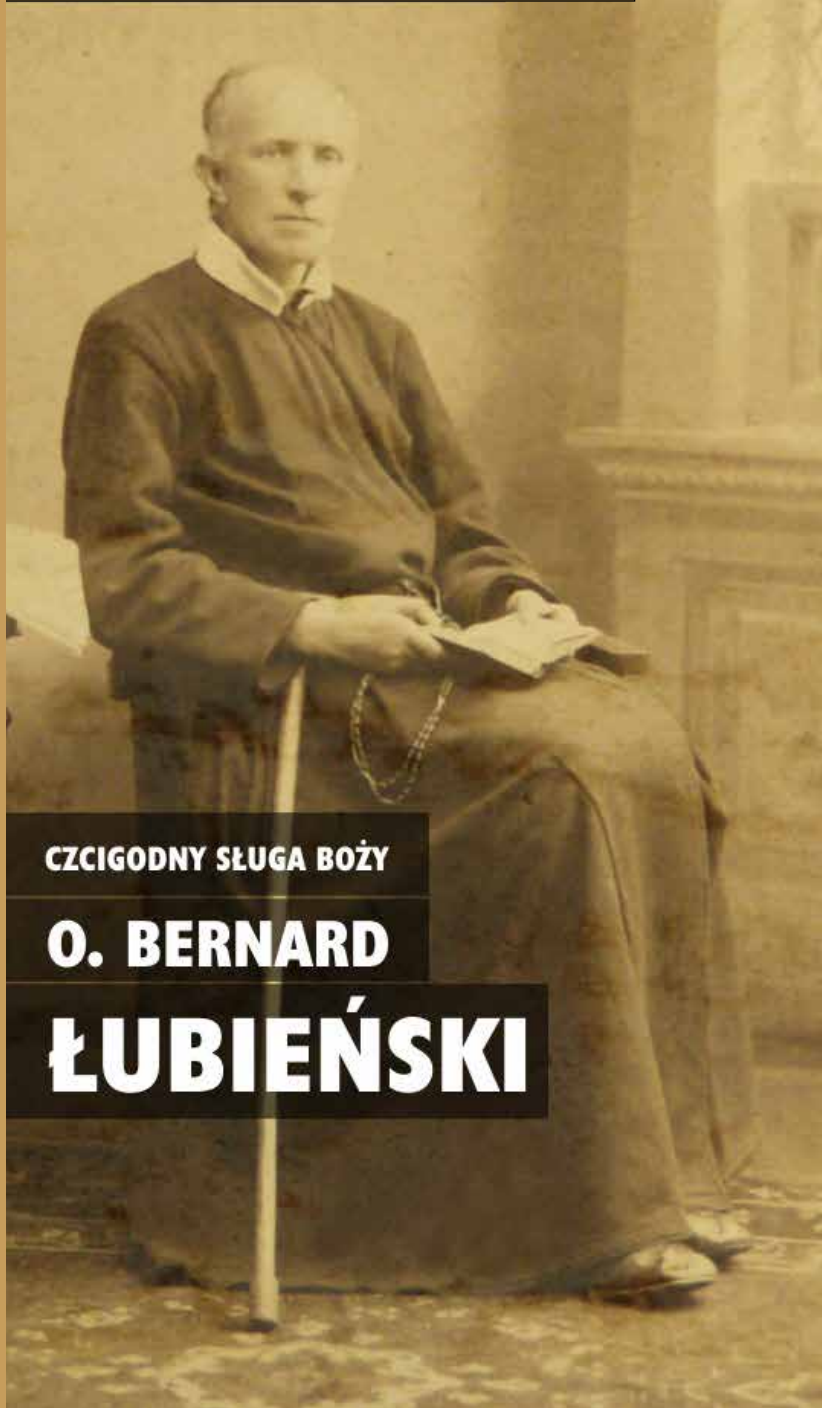
Podziękowania za łaski otrzymane za wstawiennictwem Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego prosimy przesyłać na adres:

**Wicepostulator Beatyfikacji  
Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego  
ul. Wysoka 1  
33 – 170 Tuchów**

O potrzebne informacje i obrazki można zwracać się do wicepostulatora sprawy beatyfikacji pisząc na powyższy adres lub e-mail: [o.bernard@cssr.pl](mailto:o.bernard@cssr.pl).

Pismo „Apostoł Polski” redaguje wicepostulator sprawy beatyfikacji Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego, o. Sławomir Pawłowicz. Pismo możecie Państwo otrzymywać drogą pocztową pisząc na adres: ul. Wysoka 1, 33-170 Tuchów, tel. 14/632 72 00, e-mail: [o.bernard@cssr.pl](mailto:o.bernard@cssr.pl). Uprzejmie proszę o nadsyłanie materiałów i sugestii pomocnych w redagowaniu Pisma.

**MISJONARZ NIOSĄCY NADZIEJĘ**



**CZCIGODNY SŁUGA BOŻY**

**O. BERNARD**

**ŁUBIEŃSKI**